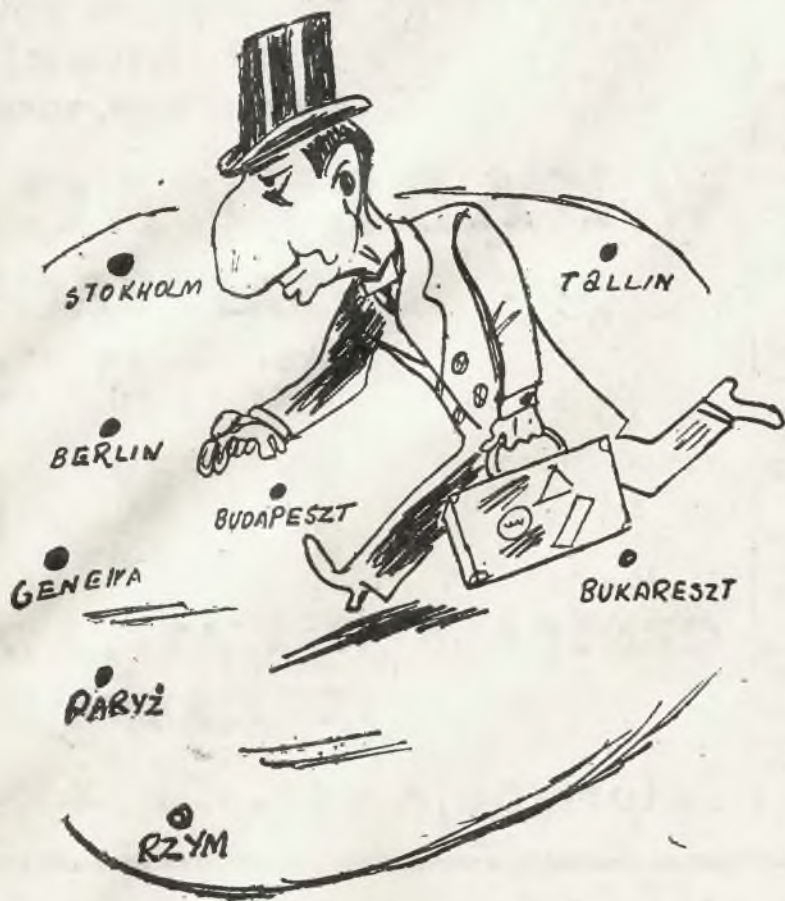


Sport w polityce

Rys. J. Zebrowski



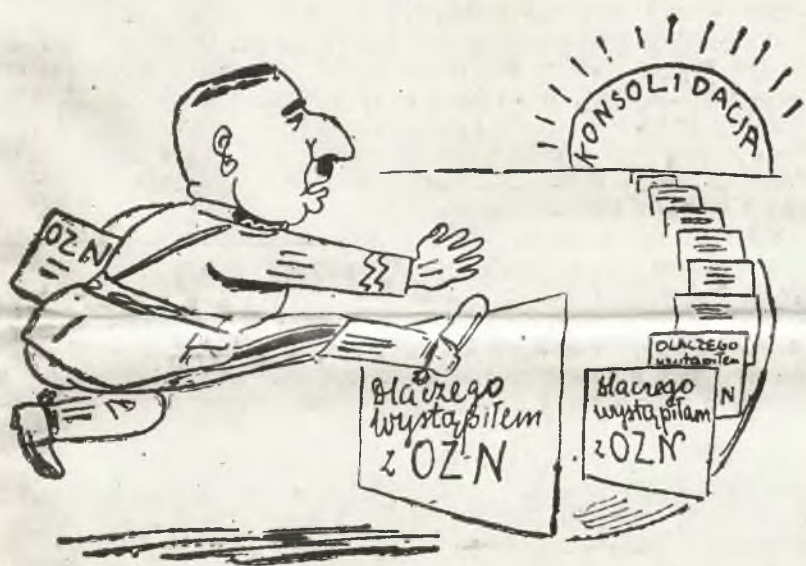
BIEGI DŁUGODYSTANSOWE



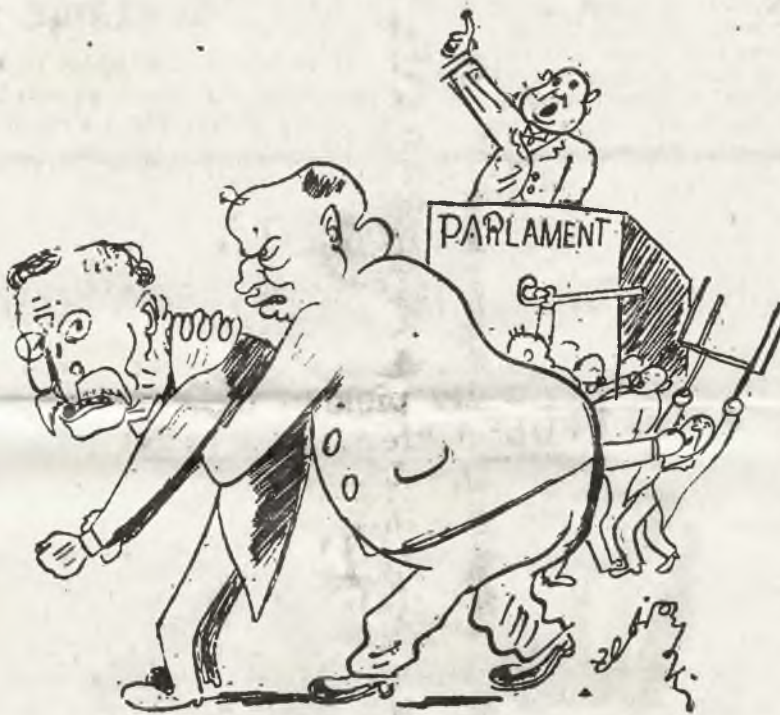
PODNOSENIE CIĘŻARÓW W POLSCE



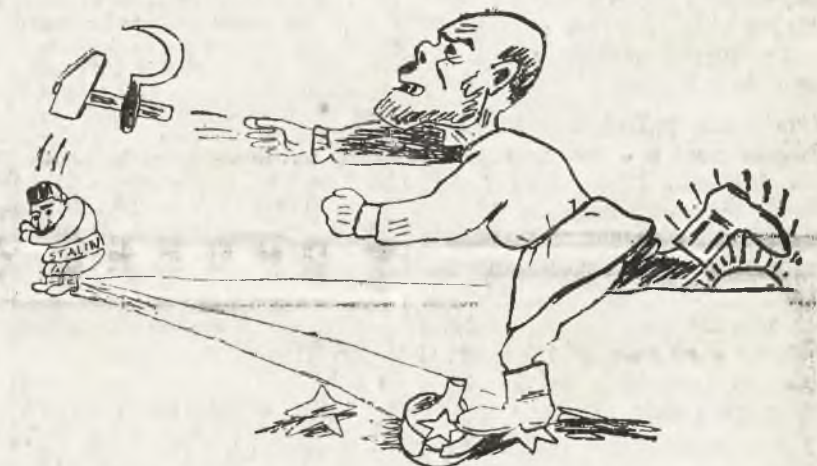
SKOK W DAL



BIEG Z PRZESZKODAMI



WALKI FRANCUSKIE



RZUT SIERPEM I MŁOTEM

ARMIN O. HUBER

54)

LUDZIE I ŻYWOŁY

Powieść współczesna z Dzikiego Zachodu

Doktor Czingwha pertraktuje z bandą Dago, która ma napisać na obóz robotników inż. Kościeszki. Bandyci postanawiają śledzić dr. Czingwhę, aby im nie umknął z zapłatą.

— Idiota jesteś — zgromił go Dago. — Taka gruba robota teraz rzadko się trafia! Dałby nam darmo pięć większych kawałków? Nie bój się! Wieczorem przyniesie w zębach jeszcze dziesięć, a po robocie doda resztę... W dzisiejszych czasach trzydziści większych kawałków nie chodzi na piechotę!

„Więszymi kawałkami“ nazywał tysiąc dolarowe banknoty.

— No, tak... — mruknął jego zastępca. — Ładny kawał groszał! Obłowimy się trochę, bo już dawno nie było lepszej roboty. A że trzeba będzie trochę postrzelać w lesie?! To jest nawet bardzo przyjemne i romantyczne. Lubię takie zabawy na łonie przyrody!

Dago mu przerwał oświadczeniem, że to jest kwestia dość dalekiej przyszłości, a teraz trzeba pomyśleć o bieżących sprawach, z których najpilniejszą było wymuszenie na bogatym bankierze.

XII.

Zapora wodna nad fiordem Nass rosła jak na drożdżach. Przyjemnie było na to popatrzeć. Miała już ponad dwadzieścia metrów wysokości i co dzień przybywało przynajmniej pół metra. Jej jasno-szara wstęga odcinała się ładnie na ciemno-zielonym tle otoczenia.

Kościeszka ustalił, że wysokość właściwej tamy nie powinna przekraczać stu pięćdziesięciu czterech stóp, co łącznie ze środkową podstawą musiałoby wynieść równe pięćdziesiąt metrów.

W ogóle porobił zasadnicze poprawki w sążnistych ob-

liczeniach jakiegoś amerykańskiego inżyniera. Przede wszystkim ocenił znacznie wyżej ciśnienie wody.

Była gorąca noc lipcowa.

Kościeszka już nie pełnił służby wartowniczej, ponieważ miał dużo pracy kreślarskiej, która go zatrzymywała do późnej nocy. Na przykład tego dnia już dawno minęła druga, gdy położył się wreszcie do łóżka.

Zasnął bardzo prędko i tak mocno, że nie słyszał, jak nadciągnęła burza.

Zbudził go straszny trzask. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, co się dzieje — po dachu jego domku bębniło z taką gwałtownością, jak gdyby z góry sypały się masy grubego żwiru.

— Co się stało? — pomyślał przecierając oczy. — Deszcz?...

Usiadł na łóżku, lecz w następnym momencie już się zerwał na równe nogi i zaczął ubierać się pośpiesznie.

— Oberwanie chmury... — mruknął.

Dach jego domku był pokryty papą, jednak woda już się przezeń przesączyła i spadała kroplami z sufitu.

Kościeszka zapalił lampę i spostrzegł kilka cienkich strumyczków, spływających po ścianach.

Zakasał rękawy koszuli, wcisnął na głowę stary duży kapelusz, jakie noszą kowboje na Południu i wyskoczył na dziedzińiec obozowy. Po kilku sekundach już był mokry do ostatniej nitki.

Pobiegł przede wszystkim do Skandynawczyków, którzy mieszkali po dawnemu w namiotach o paręset kroków od skraju obozu robotniczego.

Oślepiające błyskawice, przecinające raz po raz czarne niebo, oświeślały wyraźnie fiord, zalesione zbocza gór i tajemniczo połyskującą szarą wstęgą zapory wodnej. Towarzyszył im nieustanny hałas grzmotów.

Kościeszka z wielką trudnością porozumiewał się ze Skandynawczykami.

Nagle na parę sekund uciszyło się nieco i Kościeszka usłyszał dziwny, bardzo silny szmer, który, zdawało się, nie pochodził od wodospadu ani od sztolni, odprowadzających nadmiar wody.

— Co to jest? — wrzasnął na ucho Szwedowi. — Tam, nad...

Piekielny hałas zagłuszył ostatnie słowa. Błysnął jaskrawy zygzak, gdzieś blisko uderzył piorun. Jeszcze jedna błys-

kawica... druga... trzecia i znów się posypały ogłuszające grzmoty. Zupełnie jakby ziemia pękała.

Karol Solden pochylił się ku Kościeszce i krzyknął:

— Woda!... Woda idzie!...

Przy świetle następnej błyskawicy ujrzał ramię rudowłosego Szweda, wskazujące na góry.

— Tama! — ryknął Kościeszka i jak opętany pomknął na miejsce budowy.

Grzmiało bez przerwy, jednak Polak usłyszał wyraźniej dziwny szmer, rozlegający się z wąwozu, przez który płynęła rzeka. Te niezbyt głośne, jednak groźne odgłosy przypominały trochę głuche syczenie fal morskich podczas przypływu.

Przy niebieskim migotliwym świetle błyskawic Kościeszka ujrzał spienioną rzekę, która płynęła całą szerokością wąwozu, niosąc gałęzie i krzaki, wydarte z ziemi. Woda lała się z hukiem do sztolni bezpieczeństwa, jej nadmiar sączył się potokami ku fundamentowi zapory.

Za pierwszą falą sunęła druga na podobieństwo wysokiego progu.

Płynęły z wodą wyrwane z korzeniami całe jodły i świerki, które spiętrzyły się wkrótce przed otworami upustów i zakorkowały je, tworząc olbrzymi wał. Woda przelewała się przezeń, zabierając z sobą tylko pianę i ogromne szmaty mchu.

Kościeszka nie mógł dokładnie ocenić stópnia niebezpieczeństwa, ponieważ niewiele widział, lecz doskonale zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji.

W obecnym stanie budowy poziom wody był normalnie o kilka metrów niższy od podstawy tamy, ale wody przybywało gwałtownie i o ile Kościeszka potrafił się zorientować, ten przybór wynosił mniej więcej stopę na minutę. Strumienie, zlewając się w silne potoki, dotarły już do fundamentów, kotłowały się tam, pełzły nieustannie w górę. W tym momencie od ich powierzchni do miejsca, na którym stał Kościeszka, było na oko około piętnastu metrów.

— Potem będzie dwanaście... dziesięć... pięć...! — przemknęło przez głowę Polakowi. — Górne warstwy tamy są jeszcze za słabe, nie wytrzymają naporu wody. Rozmyje mi wszystko do diabła, a nawet może znieść całą zapórę razem z fundamentem!...

Na pół przytomny pobiegł z powrotem do Skandynawczyków.

D. c. n.